

## PRZEDMOWA

„Wreszcie nadchodzi wyczekiwany dzień. Jadę do Calais, gdzie na nabrzeżu widzę Lolę w futrze z fok i Hazel w jasnoczerwonym płaszczyku. Schodzi z trapu, ściskając oburącz Dawne rymowanki. Biegnę do nich, skręcam kostkę i biegnę dalej, żeby je objąć i ucałować”.

Tymi słowami kończy się książka mojego ojca. Wspomniana dziewczynka w czerwonym płaszczyku to ja, wciąż lubię czerwień.

Siedzę przy maszynie do pisania – no dobrze, przy komputerze – tak, jak siadał mój ojciec. Odkąd tylko pamiętam, pisał, przepisywał i bez końca redagował pierwsze zdanie artykułu. Wyrzucał kartkę i zaczynał od nowa, a papierowe kulki fruwały w powietrzu i lądowały wciąż w tym samym miejscu – w koszu na śmieci. I tak aż do wieczora przed ostatecznym terminem oddania artykułu, kiedy to wsiadaliśmy w nasz stary, rozklekotany zielony samochód i jechaliśmy na całodobową pocztę, aby wysłać tekst do gazety.

Na emeryturze nie obowiązywały go już co prawda terminy, ale nie przestał pisać, więc... papierowe kulki nadal fruwały w powietrzu.

Jedno z pierwszych moich wspomnień o ojcu to chwila, kiedy siedzieliśmy z mamą Lolą oraz babcią Ester i dziadkiem Abramem w londyńskim domu dziadków. W domu, który pamiętam jako miejsce ciemne, wilgotne, zimne i ponure.

Babcia Ester, przez rodzinę nazywana Hinde, była przysadzistą, ubraną zawsze na czarno kobietą z okalającymi twarz czarnymi włosami rozdzielonymi białym przedziałkiem. Miała błękitne oczy, tak blade, że niemal przezroczyste. Postać raczej przerażająca, prawda?

Oczywiście dla mnie nie była pisarką Ester Kreitman, siostrą Izraela Joszuy i Izaaka Baszewisa Singerów. Nic nie wiedziałam na temat jej nieszczęśliwego dzieciństwa ani nawet o tym, że jako pierwsza w rodzinie sięgnęła po pióro.

Dla mnie, małej dziewczynki, była to po prostu bobbe, czyli babcia. Dziadek wydawał się bardziej pogodny.

Siedzieliśmy skuleni przy rozpalonym kominku, który zdawał się niczego nie ogrzewać. Jeśli zdarzały się słoneczne dni, a przecież musiały się takie zdarzać, to ja ich nie pamiętam.

Nie pamiętam też, żeby babka poświęcała mi szczególną uwagę. Nie miała w sobie nic z typowej żydowskiej babci z zaróżowionymi policzkami, która piecze ci apfelstrudel.

Kiedy dziś o tym myślę, dochodzę do wniosku, że musiała mnie uważać za przyczynę życiowej katastrofy, bo poniekąd przeze mnie ojciec poślubił moją matkę.

Otóż Ester była przekonana – wiem to z podsłuchanych rozmów rodziców – że syn będzie z nią mieszkał do końca życia i że życie to spędzą wspólnie, siedząc przy stoliku w kuchni i oddając się pisaniu.

Dlatego Ester nigdy nie zaakceptowała tragedii, jaką okazało się wtargnięcie mojej matki w ich poukładane życie.

Za tę tragedię można winić II wojnę światową.

Pewnego dnia A.M. Fuchs, żydowski pisarz i uciekinier z Wiednia, przywdział kapelusz i rękawiczki i zabrał swą córkę Lolę, aby złożyć wizytę i przekazać wyrazy szacunku innej znanej żydowskiej pisarce – Ester Kreitman.

Rodzina królewska odwiedziła inną rodzinę królewską.

I tak Ester została moją babcią. Ponieważ mojego tatę oczarowała nie tylko uroda Loli, ale też hucpa, z jaką odzywała się do własnego ojca, podczas gdy Maurice (a właściwie jeszcze Morris) odnosił się do swojej matki z wielkim uniżeniem. Wtedy Lola miała jeszcze męża, który został w Wiedniu, więc Ester nie widziała przeciwwskazań, aby jej syn oprowadził córkę Fuchsa po Londynie. Nie dostrzegała zagrożenia w relacji z mężatką.

I tu moja babka się przeliczyła.

Ponieważ pojawiłam się ja, Lola rozwiodła się z pierwszym mężem. Ojciec czasem opisywał scenę, która rozegrała się w kuchni, czyli w miejscu wszystkich ważnych wydarzeń. Objął wówczas Lolę ramieniem, a w tamtych czasach gest ten oznaczał jedno: „Pobieramy się”.

Urodziłam się w trakcie wojny, w niezbyt radosny czas.

Pamiętam dwie kobiety przy kominku – moją matkę z blond aureolą i babkę z burzą ciemnych loków – przerzucające się obelgami, a pośrodku na niewygodnym stołeczku mojego ojca, wysokiego, szczupłego, nieśmiałego i bojaźliwego młodzieńca, który nie miał pojęcia, jak poradzić sobie z dwiema furiami. Jedna uważała, że wyratowała go ze szponów apodyktycznej matki, druga – że ukradziono jej syna.

Morris vel Maurice kochał matkę i opiekę nad nią uznawał za swoją życiową misję, więc miłość do Loli również dla niego była poniekąd tragiczna.

Myślę, że przez całe życie miał z tego powodu poczucie winy.

W czasie wojny ojciec pracował dla „The Daily Telegraph”, Agencji Reutera, a następnie BBC. Poproszono go o zmianę nazwiska, ponieważ uważano, że „Kreitman” jest zbyt trudne w wymowie, więc przyjął pseudonim Maurice Carr. Po wojnie został wysłany do Paryża jako korespondent zagraniczny.

Zawsze jednak chciał zostać pisarzem. Zanim przyszedł na świat, wydał nawet kilka książek, ale po ślubie i moich narodzinach skoncentrował się na dziennikarstwie, bo to pewniejszy kawałek chleba.

I z tego powodu ja zawsze miałam poczucie winy.

Przed śmiercią czasami wspominał, a właściwie przeżywał na nowo, pewne wydarzenie z Antwerpii. Razem z Ester jechali wtedy do Polski. Nagle babka dostała napadu epileptycznego, przewróciła się na przystanku tramwajowym, a na jej usta wystąpiła piana.

Na to wspomnienie ojciec popadał w niekontrolowany szloch, a my z mamą nie wiedziałyśmy, co powiedzieć, żeby go uspokoić.

Może Maurice jest teraz w niebie, siedzi z Ester przy kuchennym stoliku i razem piszą?

Pisać – to był jego najważniejszy cel w życiu.

Pisał powoli, nie przychodziło mu to łatwo – w przeciwieństwie do wuja Baszewisa, z którego słowa wręcz wylewały się na papier.

Maurice miał wobec wuja mieszane uczucia, a i ja również, choć spotkałam Baszewisa tylko trzy razy, szybko zrozumiałam, że to człowiek pełen sprzeczności.

#### PIERWSZE SPOTKANIE

Pierwsze spotkanie z moim wujecznym dziadkiem Baszewisem miało miejsce na lotnisku Orly w Paryżu. Wtedy nie był jeszcze słynnym autorem piszącym w jidysz i laureatem literackiej Nagrody Nobla. Jego twórczość znało jedynie kilku szczęśliwców.

Wracał z Tel Awiwu, gdzie mieszkali moi rodzice, i miał w Paryżu przesiadkę do Nowego Jorku. Powiedział mojemu ojcu, że chciałby mnie poznać.

Pojechałam na lotnisko i ujrzałam mężczyznę kłócącego się z jakimś funkcjonariuszem w mundurze. Natychmiast rozpoznałam chudą postać. Ubrania zdawały się wisieć na drobnym ciele, a tył głowy był tak samo niezgrabny jak u mojego ojca. Podeszłam do celnika i udało mi się go przekonać, by pozwolił Baszewisowi wyjść za bramkę.

Usiedliśmy w kafejce. Wuj skierował na mnie oczy w kolorze lodowego błękitu i powiedział:  
– Nie interesuje mnie rodzina.

Dopiero po latach zaczęłam się zastanawiać, dlaczego w takim razie chciał mnie poznać.

Rozmawialiśmy o namalowanym przeze mnie obrazie, który widział w mieszkaniu moich rodziców i który dostał od nich w prezencie. Spakował go do walizki. Dzieło prezentowało pobożnego Żyda pochylonego nad pustą szachownicą.

Po rozmowie wuj odleciał do Nowego Jorku.

## DRUGIE SPOTKANIE

Drugi raz spotkałam go na przyjęciu wydanym na jego cześć przez paryskiego wydawcę po tym, jak Baszewis otrzymał Nagrodę Nobla. Kiedy ogłaszano laureata, mieszkałam w Anglii. Słyszając w telewizji BBC słowa „Literacką Nagrodę Nobla otrzymuje...”, wiedziałam, że to wuj ją dostanie, zanim jeszcze spiker wypowiedział nazwisko Izaaka Baszewisa Singera.

Pojawiłam się na przyjęciu, choć nie wiedziałam, po co i kto mnie tam zaprosił. Kręciłam się po sali i za każdym razem, kiedy spoglądałam w stronę wuja, miałam wrażenie, że mnie śledzi. Jego bladobłękitne oczy przypominały jeziora wypełniające całe pomieszczenie. W końcu podeszłam do niego i jego żony Almy, by się przywitać.

– Jestem Hazel.

– Wiem – odpowiedziała Alma. – Rozpoznałam cię. Wyglądasz dokładnie jak twoja babka.

Ooo, to porównanie wcale mi się nie spodobało. Los nie obdarzył Ester urodą.

## TRZECIE SPOTKANIE

Po raz trzeci spotkałam się z wujem w Nowym Jorku.

Zadzwoiłam do drzwi ich apartamentu. Otworzyły się i stanął w nich Baszewis, a jego pierwsze słowa brzmiały:

– Wciąż mam twój obraz.

Zaczął go szukać, aż wreszcie odkopał go spod stosu książek i gazet.

Zabrał mnie na lunch do jednej ze swych ulubionych kafeterii. Rodzina może cię nie obchodzić, ale trzeba przecież nakarmić siostrzenicę. Ludzie wciąż podchodzili do naszego stolika i powtarzali, że uwielbiają jego książki. Każdemu z nich odpowiadał w ten sam sposób: „Dziękuję, poprawił mi pan / poprawiła mi pani humor”. Słyszałam w jego odpowiedzi nutę ironii, ale oni brali te słowa za dobrą monetę.

Zostałam wychowana przez ojca, który określał siebie mianem „zatwardziałego ateisty”. Może dlatego zadawałam wujowi wiele pytań o religię: czy wierzy w dybuki, duchy, chochliki, diabły, o których pisze? A co ważniejsze: czy wierzy w Boga? Nie pamiętam dokładnej odpowiedzi, ale było to coś na kształt: „A co my tam wiemy?”.

Potem towarzyszyłam mu podczas spaceru ciemnymi uliczkami. Zatrzymał się przed jakimś budynkiem i pożegnał się ze mną. Byłam przekonana, że idzie odwiedzić jedną ze swych kochanek.

Tata mawiał, że Baszewis udzielił mu pewnej rady: jeśli chcesz być dobrym pisarzem, powinieneś mieć kochankę, która mieszka na szóstym piętrze. Wchodzenie po schodach pobudzi krążenie krwi, a ćwiczenie na żonie sztuki kłamania rozwinie kreatywność.

Raz powiedział też mojemu ojcu: „Twoja matka była szalona”. Z tego powodu Maurice nie odzywał się do niego latami. Dopiero Alma napisała list, w którym wyjaśniała, że Baszewis nie zawsze mówi to, co rzeczywiście ma na myśli, i poprosiła, by ojciec mu wybaczył.

Mnie Baszewis powiedział w tej ciemnej uliczce coś innego. Twierdził mianowicie, jakoby mój ojciec napisał do niego list, w którym zdradził, że zamierza popełnić samobójstwo.

– Wolałbym, żeby napisał do mnie już po tym, jak się zabije – skomentował.

Odebrało mi mowę. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że Baszewis chciał jakiegoś znaku, wiadomości z zaświatów. Odpowiedziałam:

– Myślisz, że jeszcze się zobaczymy?

– Jeśli Bóg zechce.

Bóg nie zechciał.

Hazel Karr

(tłum. Natalia Moskal)

WIELKA WOJNA

– Kryć się! Kryć się! Kryć...

Słyszę, jak to śpiewne nawoływanie narasta, a potem cichnie, i do mojego snu wpływa srebrna ryba. Jeszcze zanim w ciemnościach otworzę oczy, już wiem, że takie same monstra unoszą się na niebie. I że te ryby nad głową to zeppelin, a ikra, którą spuszcza na Londyn, to bomby.

Rozbudzony odkrywam, że głos należy do tego samego człowieka, który za dnia powozi wózkami ciągniętymi przez zabiedzoną szkapę, zawodząc jękliwie: „Szmaty! Szmaty! Stare szmaty!”. Wtedy nikt nie zwraca na niego uwagi, teraz jednak, gdy maszeruje przez noc z nową śpiewką – „Kryć się! Kryć...” – wszyscy, ale to wszyscy zrywają się z łóżek. Nic dziwnego, że w jego głosie pobrzmiewa nuta zadowolenia, skoro może się odegrać i zemścić.

Otulony pierzyną wiem, że wystarczy ją naciągnąć na głowę i będę bezpieczny. Budynek runą, ludzie zginą zmiażdżeni lub rozerwani na kawałki, ale nie tu, nie na naszej ustronnej uliczce, nie na Henry Road z jej identycznymi domkami i małymi ogródeczkami od frontu. Choć nie całkiem identycznymi, bo jeden się wyróżnia – to schronisko dla antwerpijskich Żydów.

Stojąc w swoich gatkes1, tata Abram osłania dłońią płomień świecy. Jest zaciemnienie i w naszym niezasłoniętym oknie nie może się pojawić nawet błysk światła. Mama Hindele wpycha mi ręce w rękawy palta i opatula mnie szalikiem. Potem oboje z tatą zakładają szlafroki i wychodzimy na oświetlony gazową lampą korytarz.

Na dole już gromadzą się Bronsteinowie z drugiego piętra. Jeden z ośmiu czy dziewięciu braci – nie umiem ich zliczyć – niesie taboret dla babci Rywki i udaje, żartowniś, konduktora w tramwaju: „Tylko miejsca stojące! Bileciki do kontroli!”.

Tata Abram uśmiecha się szeroko, lecz blady uśmiech mamy Hindele kwaśniej na widok Schlesingerów z pierwszego piętra, którzy rozkładają słomianą matę i sadowią się u szczytu schodów. Ernst wierci się ściśnięty między odzianym w czarny płaszcz tatą a błyszczącą od biżuterii mamą. Gdyby go puścili, zaraz zacząłby się ze mną na żarty siłować.

– Patrzcie no tylko na tych ordynarnych Galicjan. Rozsiedli się jak na tronie i trzymają swojego księcia z dala od mojego Mojszele! – mruczy mama Hindele, a ponieważ wie, że miałbym wielką ochotę pobawić się z Ernstem, nachyla się do mnie i szepcze: – On jest duży i dwa razy starszy od ciebie, mógłby ci zrobić krzywdę. Ale Herr Schlesingera i Frau Schlesinger to nie obchodzi. Myślą, że są lepsi, bo mówią po niemiecku. Wyobraź sobie, że nasz mame loszn<sup>2</sup> nie jest dla nich dość dobry.

Kędzierzawe włosy mamy Hindele, rozdzielone kredowobiałym przedziałkiem, jeżą się i unoszą niczym kasztanowe skrzydła. Zrosnięte ciemne brwi drżą, a czerwone powieki mrugają szybciej niż zwykle. Wzdychając, mama Hindele wskazuje teatralnym gestem na ogromną, rozdętą głowę biednego Ernsta i mówi cicho:

– Nebech<sup>3</sup>.

Słowo wyraźnie dźwięczy w ciszy, która nagle zapadła między dwoma głuchymi łoskotami dobiegającymi z oddali.

Gdy huk zbliży się na tyle, że ściany zaczną się trząść, stłoczemy się wszyscy w zatęchłej piwnicy. Tam w świetle latarki będę sztywniał z przerażenia na myśl o szczurach. Nie robią nic złego, tylko się o mnie ocierają, a gdy się wzdrygam, odbiegają, wąsami i długimi ogonami zamiatając podłogę. Nigdy mnie nie ugryzły, ale wiem, że o tym marzą. Ich myśli – a widzę, że wszystkie myślą tak samo – krążą wokół tego, żeby mnie zjeść.

Bomby ranią i zabijają, choć wcale tego nie chcą. Nie są żywe – tak naprawdę nie są nawet ikrą unoszących się na niebie srebrzystych ryb. Wsłuchuję się więc w ich rytm – trafiony-pudło – i nie czuję lęku. Myślę sobie, że dopóki byłem dość głupi, żeby wierzyć, że mój miś żyje, kochałem go, ale teraz zmądrzałem. Jednak Delili, kotki Bronsteinów, nie przestanę kochać. To prawdziwa piękność, zawsze gotowa mruzczyć i wylizywać kocicę. Może szczury są takie brzydkie, bo jedyne, czego pragną, to jeść śmieci i gryźć ludzi? Tylko w takim razie dlaczego Ernst tak strasznie się krzywi, kiedy chce się ze mną bawić? Z jego olśniewającą mamą i przystojnym tatą też wcale nie jest tak prosto. Po wyglądzie nie da się stwierdzić, kogo powinno się kochać, a kogo nie. Ważne jest to, czego – czasami skrycie – chcą albo nie chcą dorośli.

Zadowolony nie tylko z tego, że ściany się nie trzęsą, ale także z własnej wszechwiedzy, składam głowę na grubym udzie taty Abrama, zapadam w drzemkę, a nawet trochę śnię, póki śpiewne „Alarm odwołany!” nie każe wszystkim wrócić do łóżek.

To mama Hindele, a nie tata Abram przytyka dłoń do świętej mezuzy na framudze drzwi i całuje opuszki palców. Pierzyna wciąż jest ciepła. Chciałbym zacząć śnić w tym samym momencie, w którym urwał się sen, ale nigdy mi się to nie udaje. Beznadziejna sprawa.

Wiem, czego się spodziewać, kiedy obudzę się rano. Mama Hindele wciąż będzie spała, a taty Abrama nie będzie. Nie będzie mu mogła opowiedzieć o swoich wilde chalojmes<sup>4</sup>, które zawsze doskonale pamięta. Tata Abram swoje sny, jeśli je ma, zachowuje dla siebie. Codziennie rano bardzo wcześnie wychodzi szukać pracy. Jakiegokolwiek.

1Gatkes (jid.) – kalesony.

2Mame loszn (jid.) – dosł. „matczyny język”, czyli jidysz.

3Nebech (jid.) – biedactwo.

4Wilde chalojmes (jid.) – szalone sny.

### SCHRONISKO ŻYDOWSKIE

Mama mówi, że nie urosnę duży i silny, jeśli nie przełknę łyżeczki jajka na miękko, którą mi wciska do ust. To nie jest byle jajko, to jest jajko racjonowane.

– Dlaczego kury w czasie wojny nie mogą znosić tyle jajek, ile potrzeba? – pyta mama Hindele. – Dlaczego miliony dzieci nie mają chleba, a co dopiero jajek? Dlaczego mężczyźni idą na wojnę, żeby zabijać i ginąć? Bóg jeden raczy wiedzieć.

Gdy ręka zaczyna jej drżeć, otwieram buzię i połykam łyżeczka za łyżeczką, aż skorupka robi się pusta. Czuję się pełny i jest mi niedobrze.

Schodzę z wysokiego krzesła przy kuchennym stole i biegnę na górę do Bronsteinów. Tam mogę robić, co zechcę, to znaczy podsłuchiwać i podglądać, co robią inni. Bronsteinowie nie zwracają na mnie uwagi. Nie mają czasu. Spieszą się, a ja, Mojszele, wiem wszystko – spieszą do swoich codziennych zajęć, do kupowania i sprzedawania diamentów w Hatton Garden. Ojciec, z tefilin przywiązanymi do czoła i ramienia, na stojąco odmawia modlitwy, kołysząc się najszybciej, jak tylko potrafi. Matka – też na stojąco – rozlewa do filiżanek gorącą kawę. Bracia na stojąco jedzą i piją.

Idę za nimi, kiedy całą gromadą schodzą na dół. Znajduję mamę w sypialni, z ręką w komodzie, gdzie trzyma prezenty od ojca taty, reb Gedaliasza Kreitmana. Pozwala, żeby naszyjnik z pereł wypadł jej z rąk. Podnoszę go z podłogi.

Przymierza etolę z lisa, zdejmuje ją i zakłada znowu. Wiem, co to znaczy. To znaczy, że idziemy do schroniska żydowskiego, które – o czym wielokrotnie mówiła, a teraz powtarza to znowu – wszystkich poza bogatymi uchodźcami z Antwepii traktuje jak sznorsers<sup>5</sup>. Dlatego żona szlifierza diamentów, który nie ma diamentów do szlifowania, musi przynajmniej udawać bogatą.

– Spójrz! – mówi do mnie, a ja patrzę, jak się stroi. Spoglądam na gołe deski na podłodze, na dwie żelazne ramy łóżek, na mały okrągły stolik ze stertą książek, na wiklinowy fotel, dwa gołe krzesła, łuszczące się bielone ściany. Więcej nie ma na co patrzeć.

Wiem jednak, że pod narzutą są piękne pierzyny, które wraz ze skarbami mamy tata wywiózł z Antwepii, gdy wszyscy uciekali w obawie przed bombardowaniem. Dobrze to pamiętam, mimo że byłam mała, bo gdy mama coś opowiada, widzę to jak we śnie, z tą jedną różnicą, że moje sny rozwiewają się zaraz po przebudzeniu – zostaje tylko posmak, czasem dobry, a czasem zły.

Pamiętam też hotel Manchester gdzieś w Londynie, w którym żydowskich uchodźców upakowano jak sardynki. I wiem, że wciąż byśmy tam byli, gdyby nie bransoletki mamy, jej naszyjniki i etola z lisa.

Uwielbiam jeździć do schroniska – najpierw tramwajem, a potem autobusem. W zatłoczonej poczekalni, gdzie siedzimy bez końca, mama nie jest już samotna. Żywo uczestniczy w utyskiwaniu na to, że ciągle każą nam czekać – to na to, to na tamto, to na owamto.

Wreszcie nadchodzi nasza kolej. Wprowadzają nas do gabinetu niemodnie ubranej damy, ale takiej prawdziwej, do której trzeba się zwracać „wielmożna pani”, i która zadaje pytania po niemiecku, nie odrywając wzroku od papierów na biurku. Mimo to musiała dostrzec etolę z lisa, bo wychodząc, mama mówi ze szczerym uśmiechem:

– Danke schön!

Na ulicy gładzi mnie za uchem.

– To u tej pani byłeś na wakacjach z krowami, końmi i owcami. Ale ty pewnie tego nie pamiętasz, prawda?

Zamyślam się i nic nie odpowiadam.

5Sznorers (jid.) – żebracy.

#### WSPOMNIENIA

Mama pamięta swoje wilde chalojmes. Kiedy je opowiada, nie mówi, kim są szejdim<sup>6</sup>, które w nich widuje, wspomina tylko, że przychodzą z jene welt<sup>7</sup>, aby ją dręczyć. A ja słucham, jestem nieszcześliwy i chcę, żeby odeszły.

Uwielbiam za to jej opowieści o ludziach z naszego świata, alte hejm<sup>8</sup>, jak mówi, czyli jej rodzinnego domu w Polsce. Kiedy o nich mówi, jej oczy zdają się w nich wpatrywać i nie mrugają tak często. Brwi ma ściągnięte, ale już nie drżące, a drobne loczki nie jeżą się wokół kredowobiałego przedziałka, tylko opadają na ramiona niczym złożone skrzydła.

Pewnego dnia mama opowiada mi historię, której nigdy wcześniej nie słyszałem. Występują w niej car i tata. Ten car miał w Rosji armię i chciał, żeby tata służył w niej przez dwadzieścia pięć lat, a do tego jadł wieprzowinę. Więc mój dziadek, reb Gedaliasz, wysłał tatę, który nie był jeszcze wtedy moim tatą, do Antwerpii. Kim jest car i gdzie jest Rosja? Nie pytam, bo wiem, że dowiem się tylko, jeśli będę cierpliwie słuchał.

Mama podchodzi do stosu książek na okrągłym stoliku w sypialni i podnosi trzy fotografie. Są to zdjęcia taty i mamy w Berlinie, gdzie się pobrali. Na jednym stoją obok siebie. Tata jest przystojny, ważny, włożył melonik, sztywny biały kołnierzyk i krawat, a do tego elegancki dwurzędowy garnitur i wypolerowane buty. Przy uszach zwisają mu ozdobnie zwinięte pejsy, kręcona broda niczym frędzla okala podbródek, widać okazałe wąsy i błysk uśmiechu, bez którego nie byłby tatą – ale tylko w jednym oku, bo w drugim połyskuje nieufność i uraza. Mama, w długiej sukience z ciemnej krepy, z białym koronkowym kołnierzem zapiętym ciasno przy szyi i wyłożonym na kołnierz medalionem, jest damą z książki z obrazkami. Niesfornych włosów nie widać, skrywa je peruka. Na pogodnej twarzy z uniesionym podbródkiem czai się kpina.

6Szejdim (jid.) – demony.

7Jene welt (jid., dosł. „tamten świat”) – zaświaty.

8Alte hejm (jid., dosł. „stary dom”) – rodzinne strony.